

Refleksje

I z a b e l l a S a r i u s z - S k a p s k a

Czytając *Po wyzwoleniu...* (1944-1956)

Opowieść Wiktorii Kraśniewskiej

Ta książka powstawała etapami. Napisanie relacji s t a m t a d to była potrzeba serca i obowiązek pamięci. Najbliżsi słyszeli fragmenty tych wspomnień, wśród znajomych byli tacy, którzy im nie dowierzali, byli i tacy, co zachęcali do zapisywania, choć przecież nie było szans na publikację opisu dwunastu lat spędzonych w GUŁagu. A jednak książka powstawała. Gotowy maszynopis trzeba było jakoś przemycić do którejś z emigracyjnych oficyn wydawniczych. Przewiozła go do Francji cudzoziemska stypendystka. I tak opowieść o tym, co wydarzyło się *Po wyzwoleniu...* (1944-1956), trafiła do Instytutu Literackiego. Coś w niej musiało zaintrygować wydawców z Maisons-Laffitte, skoro w 1985 roku opublikowali tekst nikomu nie znanej Wiktorii Kraśniewskiej.

W *Dzienniku pisanym nocą* pojawił się zapis, „nobiletujący” książkę debiutantki jako... ciąg dalszy *Innego świata*. Zresztą takich uproszczeń, a czasem oczywistych nieporozumień, było więcej. Jedna z recenzentek zdanie: „u nas na Kołymie, w Narylsku czy Dżezkazganie” rozumiała dosłownie, wnioskując, że Autorka tam właśnie była więźniarką. A wystarczyło spojrzeć na mapę — przecież Kołyma, Narylsk [właściwie: Norylsk; sama Autorka pisze (173): „Podobno prawidłowa nazwa brzmi Norylsk, ale tam mówiło się zawsze z a”], Dżezkazgan wyznaczają na wschodzie, północy i południu symboliczne graniczne punkty Archipelagu GUŁag, zaś prawdziwe miejsca uwięzienia i zesłania „Kraśniewskiej” są w wydaniu paryskiej „Kultury” zaszyfrowane.

W jakiś czas potem Autorka wyjechała na krótko za granicę i stamtąd zadzwoniła do Instytutu Literackiego, przedstawiając się jako „Wiktorii Kraśniewska”. I dodała, że tak naprawdę nazywa się Barbara Skarga...

Nieznany żołnierz AK

Historia jakich wiele. Przykro powiedzieć, ale po dziesięciu latach istnienia III Rzeczypospolitej coś dziwnego stało się z naszą pamięcią. Polskiego czytelnika — i to wcale nie z tych najmłodszych — nudzą dziś „te wszystkie łagry”. Kiedy w 1986 książkę „Wiktorii Kraśniewskiej” przedrukowała podziemna Oficyna Pokolenie, w „drugim obiegu” polskiej kultury tekst szybko zauważono i nagrodzono. Po ’89 niespodziewanie szybko wygasło zainteresowanie odzyskiwaniem pamięci, także i tej o polskim doświadczeniu GUŁagu. Jedną z ofiar tego dzwignego procesu było *Po wyzwoleniu...* — dominikańskie wydawnictwo „W drodze” opóźniło oficjalną edycję tej pozycji tak, że wydanie z 1990 prawie utonęło w panującym wtedy szumie informacyjnym.

Warto sięgnąć właśnie do tej drugiej, krajowej edycji (z niej też pochodzą cytaty). Najpierw dlatego, że na stronie tytułowej widnieje już prawdziwe nazwisko Autorki. Myślę, że wielu — nawet spośród wiernych uczniów Pani Profesor — nie wie o jej dwunastoletnim doświadczeniu GUŁagu. Słyszałam nieraz, jak czytelnicy tekstów o Bergsonie, Heideggerze czy Lévinasie mówili ze zdumieniem — przecież tego w ogóle po Niej nie widać! Nie widać tego po Jej filozoficznych esejach...

Wspomnienia „Wiktorii Kraśniewskiej” są odpowiedzią na podobne zdumienie. To książka wstrząsająca — bo takie było życie w obozie i na zesłaniu — ale zarazem programowo nie-martyrologiczna. Surowość opisu, oszczędność narracji — wiedzą to czytelnicy chociażby *Opowiadań kołymskich* Warłama Szalamowa — silniej przemawia, głębiej porusza, budzi więcej pytań. A tu osoba Autorki dodatkowo uwierzytelnia świadectwo, trafiając być może i do takich odbiorców, którzy świadomi wyzwania, jakim są teksty literatury łagrowej, stronią od takiej lektury. Tych spodziewających się martyrologicznego obrazka Barbara Skarga uprzedza we wstępie:

„Kiedyś, kiedy jeszcze znajdowaliśmy się w obozie, obiecywaliśmy sobie opisać go z humorem jako świat piramidalnego absurdu. Dziś trudniej mi zachować ten humor, może właśnie dlatego, że patrzę z dystansu, że już nie jestem aktorem, a widzem, świadomym spustoszeń moralnych, jakie te lata przyniosły. Niekiedy jednak kpina sama się ciśnie pod pióro, bo ostrzej widzi, wyraźniej rysuje”.

Są też i inne powody, dla jakich wydanie poznańskiego „W drodze” czyta się lepiej niż szary tom z paryskiej „Kultury”. Podczas przemycania maszynopisu za granicę coś się tam wymieszało, a że oczywiście nie było w ówczesnych warunkach korekty autorskiej, w pierwodruku niektóre wątki są zamienione. W edycji „W drodze” wszystko jest już po kolei. Poza tym Barbara Skarga rozszyfrowała część pseudonimów opisywanych postaci, zniknęły też anonimowe miejsca wydarzeń i wiemy już, na przykład, że znana z pierwodruku „Tu” to była w rzeczywistości Uchta, a „miejscowość K.” to Bałchasz. Te dane plus nota o Autorce pozwalają odtworzyć jej losy.

Aresztowana we wrześniu 1944 roku jako kierowniczka łączności terenowej przy szefie sztabu okręgu wileńskiego AK, została skazana na dziesięć lat obozu pracy. Ponad rok spędziła w więzieniu MWD w Wilnie, początkowo przy ulicy Ofiarnej, potem na (znanych z wielu tekstów) Łukiszkach. Pierwszy na jej etapowej drodze był — jeszcze na Litwie — obóz w Prawianiszkach; potem polscy więźniowie wywiezieni zostali w głąb Sowietów. Barbara Skarga była więźniarką łagrów w Woj-woży, Uchcie, Bałchaszu. Po odbyciu pełnego wyroku (1954) czekało ją dożywotnie zesłanie w kolchozie Budionowka (rejon Pietropawłowska) na Syberii...

Mimo iż tekst jest rozszyfrowany i przez to mniej niż pierwodruk tajemniczy, nie traci nic na uniwersalności przesłania. To świadectwo pojedynczego żołnierza Armii Krajowej-więźnia łagrów, ale tak wielowątkowe i uporządkowane, że może stanowić model losów każdego zeka — ZK to skrót od *zakluczonyj* — o podobnym rodowodzie.

Sen o obozie

Czytelnik *Po wyzwoleniu...* wiele razy spotka refleksję nad tym, dlaczego książka ta powstała. I jak się to odbywało. „Pisanie tych wspomnień nie sprawia mi przyjemności” — przyznaje się w którymś miejscu Barbara Skarga. Dziwne, gdyby było inaczej. Autorka przerywa pisanie, odkłada je na wiele miesięcy, na rok. Bo taka podróż pod prąd czasu kończy się budzeniem osobistych upiórów, bo wymaga wysiłku serca, nie tylko pamięci.

„Niedobrze jest pisać o obozie. Od paru dni śni mi się po nocach bardziej realny niż jawa. Wydaje mi się, że się właśnie obudziłam, że powrót, Warszawa, wszystko, co nastąpiło po powrocie, przez te długie dwadzieścia lat, jest tylko marzeniem, sennym urojeniem”. (103)

Sen bardziej rzeczywisty niż jawa wydobywa z zapomnienia fragmenty obozowej cegielni, przerażająco w szczegółach dokładny wygląd miejsc i ludzi, brzmią jakieś słowa. Co gorsza, ożywa niepokój doświadczany wtedy — we śnie odbywa się rozmowa z nadzorującym cegielnię Igorem Matwiejewiczem, okazuje się, że nie zgadzają się normy, jakie miały wypracować więźniarki, a to groźne... „Niepokój był tak dotkliwy, że się obudziłam cała nim nasiąknięta” — przyznaje narratorka. I zaraz, jakby przewidując brak zrozumienia u odbiorcy, który, słuchając tego, może wzruszył ramionami, pyta sama siebie:

„Dlaczego tak wyraziście są sny, a tak martwe słowa? Nie wiem, czy w ogóle jest możliwe oddanie tamtych nastrojów, lęków, tęsknoty, cierpienia. Czy można je sobie wyobrazić, jeżeli się ich nie przeżyło? Do wyobraźni przemawiają rzeczy znane albo brutalne fakty, które przerażają, więc bicie, tortury, śmierć. Czy więc czytelnik może pojąć mój niepokój?” (103)

Te pytania nie są wymyślone. Autorka, zmagając się z własną pamięcią i niepokojami, jakie budzi wspomnianie GUŁagu, wie, jakie bywają reakcje słucha-

czy. Problemem jest nie tylko nieprzekazywalność doświadczenia. Ograniczenia wyobraźni są oczywistością, z którą zmagają się wszyscy usiłujący w słowa ująć to, co przeżyli. Tu jednak chodzi o coś więcej — o świadome odrzucanie przez słuchaczy takiego wizerunku łagrowej rzeczywistości, jaki proponuje Barbara Skarga i podobni jej świadkowie. Jak wspomina Autorka, zdarzyło się już, iż młody człowiek, urodzony — oczywiście — po wojnie, zarzucił jej kłamstwo. Nie sposób dać wiary opowiadaniu o operacji, przeprowadzanej w obozowym szpitalu przy świecach! Przecież w razie braku prądu w każdym szpitalu włączany jest agregat!

Naiwność? Oby tylko, chciałoby się powiedzieć, bo jeśli w książce tak poważnej znalazła się ta — z pozoru błaha — historyjka o popisie arogancji, to daje do myślenia. Nie tylko piszący zмага się z oporną materią słów i obrazów — w tym procesie uczestniczyć musi odbiorca: czytelnik, widz, słuchacz. I nie wolno mu tanio podniecać się obrazami zła i cierpienia, poszukiwać scen gwałtu, bo te silniej do niego przemawiają. Tego także doznała Autorka: „Ileż razy spotykałam się z dziwnym faktem. Słuchacze chcieli opisu jak największych okropności, niemal w stylu współczesnych filmów kryminalnych” (18). Nie tędy droga do zrozumienia fenomenu, jakim była owa „dziwna kraina”, pełna „zabłąkanych wolnych”, ten kraj „piramidalnego absurdu” czy „szczególny świat sowiecki” — by wymienić tylko kilka określeń zaczerpniętych z tekstu.

Sformułowane jeszcze w latach 80. rozterki Autorki i opisane przez nią nieporozumienia w kontaktach ze słuchaczami brzmią dzisiaj inaczej. Kiedyś skarżyliśmy się na cenzurę, na jej zapisy i na ONYCH zwalając niewiedzę o dwudziestowiecznej historii. Dzisiaj *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego znieruchomiał wśród szkolnych lektur, a opis GUŁagu został mechanicznie wciśnięty obok opowiadań Tadeusza Borowskiego. Teraz „łagry” i „kacety” razem „prze-rabia się” na lekcjach polskiego, wedle jednej, martyrologicznej sztampy. I tak rodzi się banal, niebezpieczny, bo odbierający ostrość widzenia i zamazujący kryteria ocen. A może właśnie ten banal i towarzysząca mu nie-pamięć z wyboru to ma być nasz polski wariant „końca historii”?

Pisać po Solżenicynie?

Kiedy powstawało *Po wyzwoleniu...*, istniał już swoisty kanon polskiej literatury łagrowej; wydawało się, że niemal wszystko już powiedziano, a „drugi obieg” pęczniał od podobnych historii. Ów kanon stworzyli literackimi świadectwami Józef Czapski, Marian Czuchnowski, Wacław Grubiński, Gustaw Herling-Grudziński, Anatol Krakowiecki, Leo Lipski, Piotr Mayewski, Herminia Naglerowa, Beata Obertyńska, Aleksander Wat, Tadeusz Wittlin — by wymienić tylko najwybitniejszych. Niezbędnym uzupełnieniem były świadectwa polityków i wojskowych, wśród nich najbardziej znane wspomnienia Władysława Andersa (legen-

darne *Bez ostatniego rozdziału*), Eugeniusza Lubomirskiego czy Klemensa Rudnickiego.

A za nimi mnóstwo pojedynczych tekstów, pisanych przez amatorów, często ukrywających się — jak Barbara Skarga — pod pseudonimami. Ta lista jest bardzo długa i wybór przykładów musi być arbitralny — wymienić warto i Witolda Olszewskiego, autora niesamowitej groteski *Budujemy kanał...*, porównywalnej z antyutopiami Zamiatina czy Orwella, i Weronikę Hort, czyli Hankę Ordońną, która opisała zesłańczą gehennę polskich sierot, i ks. Józefa Hermanowicza, dosłownie sprzedanego do GUŁagu po zajęciu przez Chińczyków kolonii w Harbinie, i Danutę Tęczarowską, i Grażynę Lipińską, i wielu, wielu innych.

A przecież to tylko „polski GUŁag”. Zaczynając swoje wspomnienia, nasza Autorka miała za sobą Solżenicyna, czytała Szalamowa — żeby wspomnieć tylko symboliczne nazwiska. I od początku, zadając sobie pytanie, czy wobec takiego zaplecza warto jeszcze pisać, podejmowała dyskusję z niektórymi tekstami o ustalonej już randze. Po pierwsze więc — autor *Archipelagu GUŁag*. Wydawać by się mogło, że kilkutomowe dzieło Solżenicyna w jakimś sensie zwolniło piszących po nim z wielu tematów. I rzeczywiście, jest ono pierwszym przewodnikiem po GUŁagu. Tymczasem, jak pisze Skarga, dla zrozumienia fenomenu sowieckich obozów pracy, dla próby wytłumaczenia, jak to możliwe, by coś takiego mogło zaistnieć, potrzeba „dystansu Europejczyka” i spojrzenia z zewnątrz.

Aleksander Solżenicyn pisał, oczywiście, od środka, starając się znaleźć wytłumaczenie dla zła czynionego nad jego narodem — i przez jego naród. Nie miejsce tu na rozstrzyganie, dokąd zaprowadziły go rozważania o winie i karze, o tym, czy Sowiety to tylko wariant odwiecznej Rosji carów, wcielenie przepowiedni Dostojewskiego, czy też jakaś nowa, straszliwa jakość. Dzisiaj Sowiety nie istnieją, Solżenicyn wrócił z emigracji i wielokrotnie dał się poznać jako rosyjski nacjonalista — o czym przecież zawsze wiedzieli znający jego książki, ale czego nie wypadało mówić głośno, póki trwał Związek Radziecki.

Polemika z Solżenicynem już na wstępie *Po wyzwoleniu...* uzmysławiała czytelnikowi z lat 80., że ma do czynienia z książką niezwykłą, że to nie tylko jeszcze jeden opis GUŁagu, ale i nowe przemyślenie fenomenu totalitaryzmu sowieckiego.

Nie znaczy to jednak, że Barbara Skarga, wykorzystując swój warsztat filozofa, proponuje nam jakiś kolejny system, może zręczną metaforę, która na dalszy plan odsunie grozę konkretnych opisów, w ich miejsce wprowadzając gładkie dywagacje i zręczne, słowne układanki. Myliłby się ktoś poszukujący na kartach *Po wyzwoleniu...* błyskotliwego traktatu sowietologicznego. Nie ma tu demonicznego opisu Maszyny, Systemu, Kolosa — tak często pisanego z dużej litery. A przecież w czasie, kiedy powstawała ta książka, na zachodnich uniwersytetach znakomicie prosperowała dziwaczna nauka zwana sowietologią. Czyż to nie w sowietologicznych pracach Barbara Skarga-filozof powinna szukać teoretycznego

zapleczu dla wzmocnienia słów „Wiktorii Kraśniewskiej”-byłego zeka? Narratorka jest oczywiście świadoma tych możliwości:

„Dziś pisze się wiele teoretycznych prac, próbując wyjaśniać panujące w [świecie sowieckim] mechanizmy. Znakomici politolodzy odkrywają coraz to nowe jego właściwości i prawa. Dla więźnia były one chlebem powszednim i oczywistością, zbyt jawną, by mogła podlegać dyskusji. Tak, dwoistość tego świata nie ulega wątpliwości. Miał on zawsze dwa oblicza: z jednej strony konkret, z drugiej abstrakcyjna fasada; brutalna rzeczywistość i ideologia. Każde słowo musi być zgodne z tą ostatnią, czyni na ogół podporządkowują się realiom”. (69)

Te słowa są groźną przestrogą dla miłośników łatwych metafor i upraszczających modeli, które rzekomo mają wyjaśnić wszystko. Tak, przyznaje Autorka, „nie wszystkie fakty przemawiają do wyobraźni”, ale trzeba pamiętać, iż budowanie teoretycznych konstrukcji niepokojąco przypomina reguły narzucane przez twórców „innego świata”. Dwój-myślenie jako zasada totalitaryzmu nie jest tam Orwellowską figurą literacką, ale codziennością każdego więźnia. I każdy więzień potrafiłby wskazać dziesiątki konkretnych przykładów. Ot, chociażby oficjalna nazwa obozu pracy:

„ITŁ. *Isprawitielno-trudowej łagier*. I znowu myślę, jakie w tym tytule pomieszanie, jaka kazuistyka. Wychowawczy. Przypominam sobie to wychowanie na wyrębie drzewa, w śniegu po pas. Zgrabiałe ręce nie mają siły utrzymać siekiry. Elektryczna piła jest za ciężka dla kobiet, niebezpiecznie skacze po pniu, ani rusz nie chce się wpić w miąższ zmarzniętego *stwołu*. Przypominam sobie to wychowanie z kirką i łomem na gruntach siódmej i ósmej kategorii, to znaczy na skałę”. (69)

Nauczenie się podstawowych tajników owego podwójnego, zideologizowanego myślenia było szczególnym wyzwaniem dla polskich więźniów. Otaczający ich w GUŁagu przedstawiciele wielu narodów ZSRR mieli za sobą lata takiego porewolucyjnego „wychowania”. Polacy aresztowani „po wyzwoleniu” przeżyli pięć lat innej okupacji, innego totalitaryzmu. O różnicach mogli się przekonać już w śledztwie. Barbara Skarga wspomina swoje wtajemniczenie, odbywające się w wileńskim więzieniu.

Wychowana na Kresach, jeszcze przed wojną sporo wiedziała o Sowietach, знаła relacje ludzi, którzy stamtąd uciekali. Teraz, jako żołnierz Armii Krajowej, była przygotowana na najgorsze. Ta świadomość plus wszelkie cechy młodości powodowały, że w śledztwie nie uchylała się od rozmów ze *śledcowatielami*, dość beczelnie odpowiadała na ich obelgi, czasem wprost szydziła z mechanicznie recytowanej *politgramoty*, wyśmiewała przytaczane z taką dumą rzekome osiągnięcia „proletariackiego raju”. Po latach, pisząc *Po wyzwoleniu...*, Autorka podkreśla, że to nie był heroizm. Zachowywała się tak, bo była niedoświadczona i nie dostrzegała, że już przekroczyła granicę „innego świata”. Dwudziestoparolatnia łączniczka AK ludziła się, że jest kimś z zewnątrz i jako Europejka nie

pozwoli się wciągnąć w obręb rzeczywistości wyznaczonej przez nowych okupantów.

To, że taka granica istnieje i że już została przekroczona, uzmysłowił krnąbrnej Polce przesłuchujący ją pułkownik Pietrow. Ten *śledowatiel* nie przemawiał pustymi formułkami *politgramoty*, przeciwnie, wprost mówił o rozbiorze Polski, dokonującym się za zgodą sojuszników, wyśmiewał krótkowzroczność warszawskich powstańców, którzy liczyli na pomoc zza Wisły, chwalił ówczesną powściągliwość aliantów. Dla Pietrowa było oczywiste, że podwójna gra jest koniecznym składnikiem polityki, podpis czy dane słowo nic nie znaczą, bo umowy zawiera się przecież po to, aby uspić czujność przeciwnika.

Wtedy — a był to przełom 1944 i 45 roku — „Wiktoria Kraśniewska” dumnie odrzucała słowa oficera śledczego. Z czasem jednak coraz częściej widziała, jak ona sama i jej współtowarzysze nieuchronnie zbliżają się do jakiejś granicy:

„I tak powoli tracimy dusze. Dzień po dniu, razem z głodem, z pracą ponad siły, z beznadziejnością czasu, sączy się w nas kropla po kropli coś, co należy nazwać po imieniu, sączy się w nas przyzwolenie na zło. Już nie potrafimy się oburzać, już tylko wzruszamy ramionami. Dziwi nas raczej człowiek uczciwy, na którym można polegać. Sowieckie *pieriewospitanie*, ponura groźba dnia codziennego”. (128)

To nie są rozmowy z diabłem!

Sołżenicyn nie jest jedynym „rozmówcą” narratorki *Po wyzwoleniu...* Przywołajmy jeszcze dwóch, każdy z nich bowiem odsłania nowy trop poszukiwań. Po pierwsze, Gustaw Herling-Grudziński i wspomniany już *Inny świat*.

Polemika ze sposobem, w jaki przedstawiał swoje doświadczenie Grudziński, pojawia się w rozdziale poświęconym obozowej miłości. Sprzeciw Autorki budzi znana scena „tramwaju”, czyli zbiorowego gwałtu. Tak, przyznaje, opis ten został ujęty „w słowach plastycznych i przejmujących”, trafiających do wyobraźni. Ale może właśnie tu tkwi problem — w owej plastyczności, w owym szybkim pobudzaniu wyobraźni? W... epatowaniu złem? Tego ostatniego sformułowania nie użyłaby Barbara Skarga, choć niewiele słabiej brzmią takie jej słowa:

„Miłość w obozie ma różne oblicza. Obraz Grudzińskiego ukazał tylko jedno, może najbardziej drastyczne, mniej jednak nasycone dramatem, niż się to na pozór wydaje. Przypominam sobie inne sceny, inne twarze kobiet, które szczególnie silnie dotykał gułagowski los”. (129)

Autorka nie kwestionuje dokonań swoich poprzedników w opisywaniu GUŁagu; ale nie może się zgodzić na jednostronność i myślowe skróty. Dzięki nim buduje się wprawdzie znakomity obraz czy nawet celną metaforę, ale mogą one niekiedy przesłonić prawdę. Także narratorka, wrzucona w obręb tak zwanego „wielkiego obozu”, gdzie rządzą kryminalni więźniowie — *urkowie* i *blatni* — obawiała się,

co może ją spotkać. Ale przecież dziesięć lat uwięzienia dostarczyło jej materiału na... traktat o miłości:

„Bawiliśmy się kiedyś w obozie w układanie traktatu na temat miłości. Jak w każdym porządnym traktacie, należało zacząć od klasyfikacji. Trzy są więc jej rodzaje. Nazwanie ich jednak stwarza niemałe trudności. Język rosyjski poradził sobie co prawda z nią doskonale. Wiadomo było, że inna jest miłość *zakonna*, inna miłość uprawiana przez *zenatików*, a jeszcze inna ta, której oddają się *kobły*”. (129)

Rzeczywiście powstał „traktat o obozowej miłości”, spełniający „metodologiczne” wymogi: po wstępnej klasyfikacji mamy rozważania o przyjętej terminologii, oryginalnej, czyli rosyjskiej, bo — według Autorki — nieprzetłumaczalnej; następnie poszczególne kategorie ilustrują przykłady. Takie niemal naukowe uporządkowanie nie osłabia grozy opisywanych sytuacji, a większa ich ilość i różnicowanie pozwalają zrozumieć, które z nich były najbardziej „nasycone dramatem”. Los każdej z prezentowanych tu postaci to przecież materiał na osobną książkę, zapisany w kilku zdaniach ogłusza czytelnika, zanim jeszcze będzie mowa o zasadniczym temacie traktatu.

Oto, na przykład, Barbara Skarga wspomina poznaną z Woj-woży więźniarkę, która w łagrach przesiedziała już dziewięć lat. Dla polskich nowicjuszek GUŁagu to był szok, „że ktoś mógł przebywać w tym piekle tak długo”.

„Opowiadała nam pierwsze lata w obozie, te najgorsze, gdy panowała wszechwładnie pelagra. Gdzieś po dwóch latach dostała pierwszą paczkę. Była to mała paczuszka, a w niej trochę rodzynków, wschodnich łakoci (rodzice stale mieszkali w Gruzji), orzeszki, chałwa, skórkowe rękawiczki i para cienkich pończoch. Płakała nad tą paczką, marząc o sucharach, cebuli i słoninie. Jakże ludziom na wolności brak wyobraźni”. (135)

Brak wyobraźni... Ten powracający refren brzmi jak wyrzut pod adresem odbiorców, ale w rzeczywistości jest w tym miejscu wyrazem bezradności autora, który — powtórzmy to raz jeszcze — zмага się z przekazem własnego doświadczenia.

Osobliwe, że w tym samym rozdziale pojawia się dyskusja z jeszcze jednym ujęciem sowieckiego totalitaryzmu — a mianowicie z *Moim wiekiem* Aleksandra Wata. Tym razem chodzi jednak nie o skrótowość w opisie łagrowych dramatów, lecz — przeciwnie — o nadmierną precyzję. Czytelnicy wspomnień Wata pamiętają całe rozdziały, w których odtwarzał on swoje rozmowy ze współwięźniami czy ze *śledowatielami*. Te ostatnie były chyba najciekawszymi fragmentami *Pamiętnika mówionego*, przejmujące jak rozmowy z samym diablem. A był to diabeł dwudziestowieczny, więc błyskotliwy, wychowany na dialektyce i sprawnie cytujący klasyków filozofii.

Barbara Skarga pisze:

„Interesujące rozmowy Wata w więzieniu sowieckim są znakomitymi dialogami z samym sobą. Rodzą się one z rewizji własnych poglądów, z potrzeby u-

sprawiedliwienia zachwianej wiary. Są literackim kamuflażem procesu zdejmowania łusek z własnych oczu. Jest to zawsze proces fascynujący, godny najwyższej uwagi. Lecz ja nigdy takich łusek nie miałam”. (146–147)

Tu chodzi o coś więcej niż opis GUŁagu. Autorzy tacy jak Wat szukają ideowego zaplecza sowieckiego totalitaryzmu i jego korzenie konfrontują z rzeczywistością. Taki sposób referowania przypomina się naszej Autorce, kiedy opowiada o jednej z najbarwniejszych postaci ze swojej łagierniczej drogi, a mianowicie o transwestycie Sergieju Michajłowiczu, czy raczej Sofii Michajłownej Afanasjewej.

Ta postać „anegdotyczna, dla niejednej z nas wręcz śmieszna i bardzo smutna”, jest partnerem rozmów na temat rosyjskiej kultury. Wspominając po latach ówczesne debaty — a „Wiktorii Kraśniewska” i Sergiej-Sofia byli w jednym obozie przez lat sześć — Barbara Skarga unika szczegółowej rekonstrukcji, bojąc się, aby w gładko brzmiące i dobrze skomponowane dialogi nie zakradł się jakiś fałsz.

Nie chodzi o tę odrobinę fikcji, która czasem pomaga niepamięci. Chodzi o fikcję ubieraną jak kostium, olśniewający może widza, pobudzający jego wyobraźnię, ale tylko kostium przesłaniający, na przykład, jak u Wata „zdejmowanie łusek z własnych oczu”.

Tragikomiczny Sergiej był w obozie postacią wyjątkową, „nie bał [się] zapuszczać w analizy otaczającego nas systemu, ukazywać jego sprzeczności i paradoksy, i sięgający korzeni fałsz”. To były jednak analizy czynione wewnątrz systemu, z całą świadomością udziału — prawda, że nie-dobrowolnego, ale jednak udziału — w kłamstwie tegoż systemu. Jako Rosjanin, Sergiej kochał Rosję i Rosjan, ale bywał bezlitosny w ferowaniu wyroków wobec nich. Mówił o rosyjskim imperializmie, o poddawaniu się masie, o strachu przed indywidualnym sądem. Rozmowy z nim stanowiły dla „Wiktorii Kraśniewskiej” bardzo ważną lekcję, a przecież — odtwarzane z dystansu lat — nie obrosły w teatralny kostium.

Podobnie wspominał przez Autorkę rozmowy ze *śledowatielami* czy innymi przedstawicielami ONYCH w niczym nie przypominają dyskursu z diabłem. Nie w romantycznych tekstach trzeba by szukać wzorca dla nich. Ani w błyskotliwych dialogach z — by sięgnąć po przykład z tej samej tematyki — *Ciemności w południe* Artura Koestlera. Rozmowy z diabłem? Może — ale ze smutnym diabłem XX wieku, diabłem w przepoconej rubaszce, śmierdzącym tanią machorką, belkoczącym wytarte formułki *politgramoty*...

Obolała wyobraźnia

Słowa o „literackim kamuflażu” czy stwierdzenia o braku wyobraźni odbiorców wymagają uzupełnienia. Czytelnik mógłby przecież odnieść mylne wrażenie, iż w ujęciu Barbary Skargi wyobraźnia to siła dwuznaczna, najchętniej rejestru-

jąca skrajności, niewrażliwa na niuanse. Warto więc zapytać, czym wyobraźnia jest dla więźnia?

W literaturze łagrowej znajdziemy wiele przykładów na to, iż wyobraźnia jest jednym z najskuteczniejszych mechanizmów obronnych. Piszę „jest”, mając w pamięci nie tylko teksty polskie i nie tylko te opisujące łagry okresu stalinizmu. Może warto tu jako przykład wymienić Władimira Bukowskiego — rosyjskiego dysydenta już z breżniewowskiej epoki, który po latach uwięzienia został w 1976 wymieniony na Luisa Corvalana — i sięgnąć do jego książki *I powraca wiatr...* Trafiając do karceru, narrator stara się przemycić kawałek grafitu. Dzięki niemu będzie powstawał zamek — nie prosty szkic, ale p r a w d z i w y zamek, rysowany wprawdzie na strzępie gazety lub wprost na ścianie, ale za to z pietyzmem projektowany od fundamentu po szczyty wież. Zamek budowany kamień po kamieniu, z dbałością o szczegóły wykończenia: o rysunek posadzek w komnatach, o kolor zasłon i styl mebli... Co z tego, że za drzwiami karceru szurają buciory wartownika — tu pan na zamku siedzi przy kominku i czyta coś swoim gościom...

A jak gra wyobraźnia w *Po wyzwoleniu...*? Przykładów jest wiele. Oto w maju 1945 akowscy więźniowie są prowadzeni przez plac Łukiski. Przed nimi zalała słońcem, wileńska ulica. Przypadkowi przechodnie, młodzi ludzie w kolorowych, wiosennych strojach. Dziewczyna trzyma naręcze narcyzów. I na tym tle szarzy, umęczeni, zmaltretowani ludzie. Nie, to nie cikliwa literatura — taki opis uzmysławia, jak działa umysł więźnia, co rejestruje, jak to przeżywa. Bukiet złocistych kwiatów, barwa czyjegoś ubrania — i rozprasza się wszechogarniająca szarość, obolała wyobraźnia *zeka* ożywa bodaj na chwilę.

Szarość, *urawniłowka*, bekształtne, jednakowe ubrania — to znaki rozpoznawcze totalitaryzmu, znaki tak codziennie, że prawie niezauważalne, a upadające, bo sięgające głębiej niż niejedno fizyczne cierpienie. Trzeba zaradności, trzeba wyobraźni, aby w szarej masie więźniów zachować poczucie odrębności, nie dać się do reszty zsowietyzować.

„Ubierają nas wszystkie w jednakowy granatowy kolor. Już następnego dnia workowato leżące wyfasowane sukienki zmieniają krój, zdobywają haftowane ozdoby przy kołnierzyku, na rękawach. Jest w tych zmęczonych, nieraz głodnych, niewiele mających sił kobietach jakiś niepowstrzymany pęd do nadania bardziej estetycznych form szarości sprzętów i rzeczy”. (113)

Dla porządku trzeba dodać — mowa tu nie o więźniach w ogóle, lecz o tak zwanym „pięćdziesiątym ósmym”, czyli o politycznych, ludziach osądzonych i skazanych na podstawie tego właśnie artykułu.

Opowieści o kolorze czy kształcie można by mnożyć. Ale wyobraźnia żywi się przecież nie tylko doznaniem estetycznymi. Jest „obolała”, bo torturowana bywa, na przykład, przez niemożliwy do wyobrażenia czas.

„Psycholodzy twierdzą, że wystarczy posiedzieć w więzieniu trzy lata, aby zażyły zmiany w ludzkiej psychice. U nas mówiło się, że pięć lat można przestać na jednej nodze. Pięć lat to jeszcze nic, jest się tym samym człowiekiem. Im

dalej, tym gorzej. Perspektywa dziesięciu lat jest perspektywą bez granic. To całe gimnazjum, dwa fakultety, córka, która zdążyła przejść do czwartej klasy. Nikt z nas w normalnym życiu nie myśli takimi kategoriami czasu, nie układa takich planów. Cóż można wiedzieć, co będzie za rok, czy dwa? A za dziesięć? Czy można w ogóle myśleć o końcu wyroku? Czy można snuć jakieś marzenia czy plany? Przyszłość staje się pusta. Wspomnienia zacierają się. Głowa nie pracuje tak jak dawniej, fakty uciekają, ucieka wiedza, nazwiska, wiadomości”. (107)

Jeszcze raz okazuje się, że szeregowy *zek* musi na co dzień zmagać się z pytaniami, które w normalnym świecie interesują zazwyczaj specjalistów — psychologów, socjologów, filozofów... Nie tylko się zмага, ale i — znajduje rozwiązania, bo te są warunkiem przeżycia.

Dokument czy literatura?

Czy książka o tym, co się w życiu Barbary Skargi i wielu z jej pokolenia wydarzyło *Po wyzwoleniu...*, należy tylko do porządku dokumentu, czy ma swoje miejsce wśród dzieł literackich? To pewne, że siła świadectwa i plastyczność opisów sytuują ten tekst wysoko wśród zapisów literatury łagrowej. To daleko więcej niż dokument i niewiele mniej niż literatura, która w fikcji ma wygodną furtkę dla ewentualnej ucieczki przez groźną rzeczywistość.

Są w tej książce krótkie opowieści, które w pozornie surowej narracji ukrywają przejmującą fabułę, godną autonomicznego tekstu, może filmu? Przykładem niech będzie wspomnienie jeszcze z Wilna, z czerwca 1945, a więc z początku drogi, kiedy młodzi ludzie ciągle nie dawali wiary, że „to” rozgrywa się naprawdę. Było już po śledztwie, czyli — mówiąc słowami Autorki — „normalne więzienie, a nie śledcze kazamaty”. Więźniarki obserwowały przez okno kociecia bawiące się na podwórku, zabijały czas opowieściami, starały się nawiązać kontakt z innymi celami:

„W tej na dole jest ich siedmiu, jeden ksiądz. Aresztowani zostali na wiosnę. Są po wyroku. Kara śmierci. Nie wierzymy. Szeptane wiadomości donoszą, że wyroków nie wykonują. Kara śmierci ma być w ogóle zniesiona, czy już jest zniesiona. Chłopcy się nie przejmują. Spuszczamy przez okno «konia», tj. na długim sznurku lub pasku małą paczuszkę. Posyłamy im papierosy, oni podarowali nam śliczny różaniec z chleba”. (24)

Na „koniu” jeżdżą też między celami listy, w nich wiadomości o kocich zabawach na dziedzińcu, nawet żartobliwe wierszyki układane dla dziewcząt przez chłopców z AK. Z wiadomości na poważnie: piszą, że w celi obok siedzą też skazani na śmierć Niemcy. Nocą coś się działo na dole. Na drugi dzień Polki zaprowadzono do pustych już cel, aby posprzątały polskie i niemieckie rzeczy, wyszorowały podłogę dla następnych...

„Jeśli piszę dziś jeszcze, to dla tych chłopców, dla ich pamięci, dla tego kapelana, który do końca podtrzymywał wiarę, a nawet humor. Nikt już o nich dziś nie pamięta. Nikt już o nich nie mówi. Daremne ofiary. Nieugięci, niepokonani, wierni. Nie oszczędzono im niczego. Jak się musieli czuć, gdy stawiano ich w szeregu nad wykopanym dołem razem z Niemcami, z którymi przez pięć lat walczyli. Zrównani z wrogiem pod karabinami przyjaciół, wyzwolicieli, sprzymierzeńców. Woleliby usłyszeć komendę: *Feuer!*, ale usłyszeli: *ogień*, tak jakby ktoś zawołał: *ognia!*” (25)

Szorując podłogę w celi nieznanym kolegom z AK, dziewczęta zauważyły wydrapany na ścianie napis: *ex ossibus nostris exoriar aliquid ultor*. Działo się to w Wilnie, w łukiskim więzieniu, jakże niedaleko od bazylianów, gdzie mury przechowują legendę filomatów, niedaleko od celi Konrada. Jak niedaleko od wszystkich tych skojarzeń, które na co dzień, w normalny czas nudzą szkolną schematycznością, aby z nową siłą — i niezmienną prawdą — przemówić w takich momentach.

Dwie strony opisu. A materiału wystarczyłoby na powieść czy na cały film.

* * *

Dzisiaj możemy *Po wyzwoleniu... (1944-1956)* czytać nie tylko jako dokument historycznej epoki. Wiek XX zatrzasnął już swoją historię w kufrze, a wielu pośpiesznie chciałoby odesłać go na jakiś zakurzony i zapomniany strych. Ale co chwila uchyla się wieko owego kufra i na powierzchnię wydostają się dwudziestowieczne upiory. Są wśród nich nie-rozsądzone i nie-osądzone widma totalitaryzmów. Trzeba więc wracać do mądrych świadectw o minionym wieku — a wśród nich tekst „Wiktorii Kraśniewskiej” – Barbary Skargi należy do najświetniejszych.